



MINIATURE





BEATA BEREZA

W niebieskiej koszuli. I w czapce z daszkiem. Z torbą jabłek. Wałęsał się. Od pół godziny. Wcale mu tych jabłek nie ubywało, tylko mu ciążyły. Soczyste. Ligole.

Po kolejnej pół godzinie był już na stacji, gdzie odprawiano pociągi Donikąd. Zawsze marzył, żeby się na taki załapać. Żeby zniknąć, będąc. Bo przecież gdzieś by był. Ale nieuchwytny, nie pod komórką, nie pod domofonem, nie pod pocztą. Taki po prostu, bez przeszłości. Wolny jak nogi w trampkach bez skarpetek. Jego gołe golenie odstręczały bladością. Ostry świst gwizdka zawiadowcy wyrwał go z letargicznego zamyślenia. Rozejrzał się. Ale po peronach tańczył tylko wiatr, przewracając zardzewiałą puszkę po turystycznej. – Może kiedyś – jakiś turysta niechybnie – wyrzucił ją przez okno pociągu jadącego Donikąd – pomyślał z rozrzewnieniem.

Pluł pestkami. Bo zawsze zjadał jabłko z ogryzkiem włącznie. Ale pestki wypluwał. Bał się, że mu zakiełkują w żołądku. Już o dwa lżej, jeszcze osiem. Żeby tak spotkać kogoś, kto by miał ochotę na jabłko, szybciej by się z tym uporał. A tak, ani pociągu, ani turysty z aparatem, ani nawet bagażu podręcznego, czy chociaż gwizdka świstu.

Tamten musiał mu się przesłyszeć. Przecież

W DRODZE DONIKĄD

tu nikogo nie ma. Nawet namiastki. A czy kupił bilet?

Przyłożył ucho do torów, aby się przekonać, czy jest sens wydawać resztę forsy przeznaczonej na jabłka. CZY COŚ TĘDY W OGÓLE PRZEJEŻDŻA? Na zmianę to podskakiwał z radości, gdy szelest wiatru w liściach pobliskiej topoli wydawał mu się odgłosem nadjeżdżającego pociągu, to znowu opadały mu na ramiona uszy, gdy uświadamiał sobie pomyłkę. Zdezorientowany usiadł na szynie. Lewej. Nie, prawej. Dobrze, później to ustalimy. Teraz jest do rozwiązania palący problem egzystencjalny.

Jak mu pomóc? Powiedzieć w końcu maszyniście, aby przestał stroić sobie żarty z nieszczęśnika, obudził z drzemki palacza, uruchomił maszynę i wydostał ją zza zakrętu, za którym czyha, czatuje na duszę zgubioną, zagubioną, udręczoną? Posłać anielicę w przebraniu dziewczyny lub dziewczynę w przebraniu anielicy, która jabłkami nie gardzi, a nawet uwielbia ligole? Proszę bilety do kontroli.

- Zaraz, a dokąd ten pociąg jedzie? – Co, pasażer na gapę? Takich my tu znamy. Udają, że się wczoraj obudzili, że nic nie wiedzą, nie

słyszeli. To po coś przychodził na peron? Odkryć tajemnicę? Kamień filozoficzny? Każdy by to chciał. Przerost marzeń nad treścią. To jaką formę mandatu wybierasz?

- Ale ja chciałem kupić bilet.

Chciałem jechać Donikąd.

- Donikąd? A gdzie to jest?

- Myślałem, że pan mi powie.





KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI

NAŚMIERCINY

Po posiłku, kiedy wszystko jest już na talerzach, matka bierze je do kuchni, by po pewnym czasie wstawić do lodówki - obiad porozdzielany na różne części składowe. Dalsze losy posiłku wyglądają tak: Mija parę dni i matka wyciąga to wszystko z lodówki, pakuje do toreb i idą z ojcem odnieść je do supermarketu. Gdy wracają w portfelu jest dużo nowych pieniędzy. Jedyną wadą obiadów jest to, że zazwyczaj potem przez pewien czas człowiek jest głodny...

Dzieciństwo to koszmar. Człowiek się kurczy, traci rozum. Coraz więcej czasu poświęca na beztroskie, idiotyczne zabawy w rodzaju dekonstruowania budowli z klocków lub zamku w piaskownicy. Z czasem dramatycznie maleje zasób używanych słów. Później zaczynasz wydawać jakieś dziwaczne dźwięki i już nawet wysrać się sam nie

potrafisz. To objawy niemowlęstwa, wtedy to nikniesz w oczach i nawet nie masz już zbyt wiele świadomości. Ma to jednak, paradoksalnie swoje plusy - w tym fakt, że nie zdajesz sobie sprawy ze zbliżających się wielkimi krokami odrodzin. A to przecież kres twojej drogi na tym też padole. Kres polega na tym, że gdy jesteś już tak głupi jak miska z budyniem malinowym to trafiasz z rodzicielką do szpitala i tam jej organizm cię wchłania. Potem nosi w brzuchu przez 9 miesięcy, aż kompletnie przestaniesz istnieć, ale wtedy jest tobie to już obojętne - nie istniejesz.

Wracając do mego życia. Mam teraz 78 lat. Za trzy lata nastąpią naśmierciny Anny - ukochanej żony. W tej chwili moje wspomnienia o niej już troszkę wyblakły i pożółkły w odmętach czasu, ale wiem, że rozbłyszczą



pełnią barw i wyrazistości z momentem jej naśmiercin.

Zanim dojdzie do aktu naśmiercin i zstąpi dusza, ciało musi dojrzeć w cielsku matki ziemi. Z prochu tworzy się szkielet, który potem obudowuje się trzewiami i mięśniami, a te z kolei obrastają naskórkiem. Kilka dni przed naśmiercinami ciało jest zimne i blade. Wydobywamy je wtedy z ziemi w miejscu zwanym cmentarzem. Wraz z upływem czasu w ciało wnika dusza i zaczyna się nowe życie.

Gdy naśmierciła się żona, czułem jakby mi ktoś w głowie przestawił jakiś przełącznik, uruchamiając inny sposób postrzegania rzeczywistości. Koniec samotności. Teraz ona była częścią mego życia. Poczułem głęboką przyjaźń i więź; jakby była częścią mnie samego. Momentalnie uświadomiłem sobie te wszystkie nasze dole i niedole, przez które jakoś przebrniemy. Za 54 lata czeka nas płomienny, pełen namiętności romans, który będzie poprzedzał... jej zniknięcie z mojego życia. To straszne, że kiedyś muszę ją stracić. Pewnego dnia zniknie z mej świadomości fakt, że w ogóle istniała. To jest tak przygnębiające, że aż ciężko wyrazić słowami; niestety każdemu to przeznaczone.

Niedługo naśmiercą się moi rodzice, zaledwie

kilka lat po naśmiercinach żony. Ich dusze zstąpią do ciał w momencie potężnego karambolu. To oni będą towarzyszyli mi kiedyś w mych ostatnich chwilach.

Zabawne jak to ludzkość głupieje. Coś jest, a później tego nie ma. Ludzie korzystają z wynalazków a potem te znikają - zapomnieli o nich naukowcy. I tak cofamy się w rozwoju w niewytłumaczalny sposób - i jest to naturalne. Nasza cywilizacja marnieje w oczach. Nie wiem, co było przed moimi naśmiercinami. Niestety tak już jest, że z każdą chwilą umyka nam to, co działo się przed chwilą. Tracimy to bezpowrotnie. Domyślam się, że na pewno jako ludzkość byliśmy bardziej rozwinięci. Z nauk, które zaznam w młodości w różnych szkołach dowiem się, że cywilizacja powoli chyli się ku upadkowi. Czekają nas dwie okrutne wojny światowe. Znikną komputery, telewizory i auta. Skończymy jako dzikie małpoludy z maczugami, ale... ale to już nie jest mój problem. Mam przed sobą 78 lat nudnego przewidywalnego życia i kilka chwil radości. To na nie będę czekał z utęsknieniem nim nadejdzie kres mych dni...



IZABELA FILIPEK

Kolejny raz Weronika
zdejmie pot z twarzy
Chrystusa
Znów drzeć będą kolana
niewiast którym cierpienie
zegnie plecy
Jeszcze raz bolesny upadek
i rana i korona
ciągle od nowa
cierpki smak zmartwychwstania



PROFESOR

Prześlągnięte wilgocią ubranie zdawało się kleić do ciała. Jan z wysiłkiem podnosił nogę za nogą wkraczając na kolejne piętra. Po raz trzeci przełożył torbę do drugiej ręki, jakby chciał oszukać samego siebie wma- wiając sobie, że nic nie niesie. Pomiędzy trzecim a czwartym piętrem zachwiał się i niebezpiecznie zawisnął na poręczy. Ta przejęła jego ciężar amortyzując upadek. Podjął starania, by stanąć na równe nogi.

Kolejne minuty, kolejne stopnie. Wreszcie doszedł do upragnionych drzwi, tak starych jak on sam. Ogromne, lite, zimne drewno wydawało się czekać na sędziwego profesora. Mosiężny klucz z chrzęstem przekręcił zamek. Drzwi otworzyły się wypełniwszy holl skrzypieniem. Starzec przekroczył próg powitany zapachem stęchlizny.

W korytarzu wyłożonym ciemnobrązowym chodnikiem stała mahoniowa komoda. Jan położył na niej rękawiczki i filcowy kapelusz. Zarzucił płaszcz na trójnogim wiszaku. Swoim zwyczajem skierował kroki do kuchni.

Napełnił wodą okopcony czajniczek. Syk zapalane go gazu jednocześnie przerwał ciszę wtórując skrzeczeniu zielonej papużki. Profesor zalał porcelanowy kubek z trzema łyżeczkami świeżo zmielonej kawy. W kredensie nie uświadczylbyś nawet odrobiny cukru, Jan pił jak zwykle czarną, mocną, gorzką kawę. Aromat wypełnił gabinet, do którego wszedł wlokąc za sobą zmęczony cień.

Ciało starca wkomponowało się w przestronny skórzany fotel. Przed nim, na biurku, leżał stos książek. Posunął stertę i wyjął z teczki duży brulion. Zegar ze złotym waha- dłem wybijał właśnie szesnastą. Z bocznej kieszeni wydobył fajkę oprawioną w kość słoniową. Nabił ją portugalskim tytoniem i po chwili raczył się nieopisaną wonią o lekkiej nutce kamfory.

Za oknem krople deszczu coraz szybciej wy- grywały melodię w zetknięciu z blasza-

nym parapetem.

Spośród książek wyszukał gruby tom i prze- rzuciwszy kilka kartek wczytał się w jego treść. Jednocześnie, jakby odruchowo, za- częł notować coś w brulionie.

Dopiero osiem uderzeń zegara oderwało go od pracy. Zdjął okulary w drucianej oprawie, rozciągając wygodnie stare kości na oparciu fotela i głęboko westchnął.

Wstawszy, podszedł do okna. Na zewnątrz ściana deszczu ograniczała widok.

Ciemność ulicy przerywało słabe światło latarni. Pan Jan zasunął ciężką granatową zasłonę. W rogu czekał już na niego przed- wojenny tapczan. Złożył ubranie na krześle i wziął jedną z niedokończonych powieści. Ściągnawszy narzutę wsunął swe chude ciało pod pierzynę.

Kończył właśnie trzynasty rozdział, gdy zgasła lampka nad łóżkiem. Odruchowo pociągnął sznureczek. Nic, jeszcze raz i znów nic. Sam już nie pamiętał, ile lat temu zmieniał w niej żarówkę. Aż dziwne, że wydarzyło się to właśnie teraz. Kątem oka dostrzegł, dzięki uprzejmości ulicznej latarni, że wska- zówki zegara zbliżają się do godziny dziesiątej.

Było już zbyt późno by naprawiać lampkę. Położył książkę i okulary na nocnym sto- liku. Przynajmniej tak mu się wydawało. Zdaje się, że nawet nie usłyszał już odgłosu stłuczonego szkła, gdy okulary spotkały się z podłogą.

Od ponad czterdziestu pięciu lat niezmienny piątkowy wieczór dobiegał końca. I tak na- prawdę nie było by w nim nic niezwy- kłego, gdyby nie fakt, że był to ostatni wieczór profesora Jana Markockiego.





WŁADYSŁAW RYŚ

SEN

Sen powiadasz, znaczy położyć się po kąpieli na osiem godzin, rano wstać, najpierw tam, gdzie królowie, potem się ogolić, odświeżyć pod prysznicem, wysuszyć w bawełniany ręcznik, po czym jak matuzalem zasiąść do stołu, bo Polak niewyspany jest do niczego, głodny bywa zły, a za tym domownicy nie przepadają, trudno im się dziwić, bo i Polak nie jest z siebie zadowolony, tylko się do tego nie przyznaje, lepiej się wyspać i przekąsić, można nawet coś konkretniejszego, jajecznicę na boczku z trzech jaj, powiedzmy, popić półkwatkiem kawy z mlekiem, nie piwem, broń boże, zwłaszcza gdy się nim raczyłeś wieczorem, może nawet dokumentując przyjaźń czymś konkretniejszym, właściwie to na kolację wystarczy lekki posiłek bezalkoholowy, wtedy sen jest lżejszy i pożyteczniejszy, a bywa, że barwny i przyjemny, nie męczysz się jak po pieczonym bażancie, nielegalnie ustrzelonym, choćbyś sobie wmawiał, że go zupełnie przypadkowo od nieznanego na bazarze za bezcen kupiłeś, podobnie jak butelkę śliwowicy, po której rośnie krzepa, ale sny bywają koszmarnie, śnią się intrygi nie do rozwiązania, przypadki zagrożenia dla całości powłoki cielesnej i kompletu kończyn, zbrodnie nawet, ścigane z urzędu, kryminał z niewyżytymi współwziętniami i klawiszami sadystami, z zakazem spacerów, widzeń i jasnowidzeń, choć sny nie tylko

od rodzaju pożywienia, ale też od sposobu prowadzenia się zależą, od sukcesów i niepowodzeń, od tych drugich nawet bardziej, taka przykładowo bessa na giełdzie, czy przejęcie konwoju tirów przez konkurencyjny kartel kryminogenny może twoje sny zasadniczo skomplikować, skrócić, sny w snach uczynić makabrycznymi przerwami na reklamę, spowodować odmówienie przez partnerkę wspólnoty łoża, a w snach z sędzią Wesołowską to nawet wyrok niewinny przyśnić się może i przypadki molestowania twojej kobiety przez mafioso, jego szoferów i ochroniarzy, zresztą niepowodzenia niematerialne także mogą mieć niekorzystny wpływ na jakość snu, wystarczy że Wena na dłużej przysiadzie się do znajomych i nieznajomych z portalu literackiego "twój sukces", nie zamieścisz swego utworu przez tydzień czy dwa, a już jesteś sennym nieudacznikiem, gubisz walizki i segregatory, notatki z warsztatów, a nawet części swej garderoby, nie możesz znaleźć buta do pary, w skarpetach szukasz kluczy, pięt, ba, swojego akademika, drogi się mylą, wydłużają, rosną pod górkę, rozkład jazdy pociągów zupełnie ci nie pasuje, zapada mrok, ulice pustoszeją, szlaki turystyczne więcej pustką i strachem, że jedynym wybawieniem z opresji bywa wybudzenie, choćbyś dopiero przed kwadransem usnął, masz wtedy szansę zasnąć ponownie, w czym zmęczenie lub zrzućcie kołdry niekiedy pomaga, choć różnie bywa, za krótka kołdra może być przyczyną snu nad przerebłą, z bosymi nogami na mokrym lodzie, mormyszką wyrzucającą ci rękę w stronę topieli, skąd już tylko kilka kroków do snów w dojrzwali, tej zadaszonej nisko werandzie, gdzie leżysz na pryczy niczym ser w chłodni, albo surowa cegła, tężejąca w chłodzie, tak i ty, z narzuconą na gołe ciało pałatką pościelową, leżysz pogodzony, dosychasz, kruszejesz, a o zmiłowanie już nikogo prosić nie zamierzasz...



Krzysztof Kuzko





ARTUR ROGALSKI

KATEDRA

Z najwyższego wzgórza w środku lasu widać ostre
 krawędzie katedry
 zaplątane w ślimaki schodów

drewno skrzypi w zmroku letniego wieczoru
 a świerkowy zagajnik wyrasta na blaszanym balkonie
 obok donicy z żółknącym fikusem
 jeszcze można zobaczyć
 dotknąć
 schwycić
 wirujący liść
 zanim zamknie się brama
 a drzewa zarosną odległe wieże

LIST DO POETY

o północy widać
 dzioby drakkarów
 na czerwonych horyzontach
 śpiącej Europy
 chwila zatrzymała się gdy cięte masztami
 chmury
 przybierają kształty
 anioła ognia

łaska niewiedzy spłynęła na ciebie
 a przemijanie dalej galopuje
 przez granice epok
 i szkarłat ciągle napina szpony
 aby rozedrzeć niebo

ja też nie chcę wierzyć
 że choć wici wzywają do śmierci
 to wciąż pasterze przepędzają stada
 przez ciasne wąwozy
 a trubadur wyśpiewuje pochwały
 Heleny Fourment



AGNIESZKA PAŁKA

PIECHOTĄ PO POLIGONIE

Wyszło nas pięciu albo sześciu. Silni młodzi mężczyźni z czternastoletnią duszą na ramieniu. Przygniecieni ciężarem plecaków, menażek, chlebaków i pistoletów na ostre kapiszony.

Miałem na sobie takie szerokie wojskowe spodnie w kolorze brudnej oliwki. Dlatego brudnej, bo prawa nogawka miała ciemne plamy, których mamie nie udało się doprać. Spodnie były duże. Nogawki musiałem podwijać, ale i tak co chwila się potykałem. Ale to nieważne. Byłem bardzo dumny z tych spodni. To były spodnie po starszym bracie. Od miesiąca już mu niepotrzebne. I stąd te plamy. I dlatego byłem z nich dumny. Ciężko być dumnym z nowych spodni, które uszyła ciocia. Ale z takich, które ubrudził starszy brat i które są za duże, można. Był z nami taki Jasiek. On też miał spodnie, z których można być dumnym. Ja przynajmniej byłbym, mimo że to były takie bardziej dziewczynskie spodnie. Miał je po siostrze. Mówił, że ma na imię Marysia. Ale jego spodnie nie były brudne, bo jego siostra została sanitariuszką i teraz nosi spódnice. Podobno wszystkie sanitariuszki noszą spódnice. Chciałbym kiedyś trafić do szpitala do takiej sanitariuszki. One są podobno bardzo miłe. I bardzo ładne. I jak przychodzi do nich taki młody mężczyzna jak ja, to do zastrzyku dają mu cukierka. Ja się igły nie boję, to mógłbym mieć dużo takich cukierków od ładnych i miłych sanitariuszek. Szliśmy do lasu. Na wojnę. Nie wiem, czemu ta wojna jest w lesie. Ale pamiętam, że jak byłem jeszcze mały, to często bawiliśmy się w wojnę z bratem i jego kumplami. Bo teraz już mały nie jestem, chociaż moja mama uważa inaczej. Ale Bolek powiedział, że mamy tak zawsze. I też zazwyczaj bawiliśmy się w krzakach. Albo w lesie. Ale w lesie rzadziej, bo do lasu było daleko. Tylko, że ja zawsze byłem najmłodszy i musiałem ich wszystkich słuchać. I pierwszego mnie zabijali. Ale teraz już nie jestem najmłodszy. I teraz ja będę mógł zabijać, bo mam broń i jestem prawie dorosły. I to już nie będzie w

krzakach, ale w prawdziwym lesie. Takim z dołami i dzikami, i dużymi paprociami.

Weszliśmy do tego lasu rano. Było jeszcze ciemno i w lesie było zimno i mokro. Ale my się nie boimy ciemności, bo ciemności boją się tylko smarkacze. Szliśmy wtedy przez ten las długo. I bardzo cicho. Kazali nam iść bardzo cicho, tak żeby nas nikt nie widział i nie słyszał. Szliśmy więc po mchu. Bo to był taki piękny las z ogromnym dywanem z mchu. I wrzosów. Moja mama bardzo lubi wrzosy, ale nie mogłem ich dla niej zabrać. Szkoda. Kiedyś, jak skończy się wojna i nie trzeba już będzie chodzić po cichutku, przyjdę do tego lasu i zbiorę dla niej wielki bukiet wrzosów. Po paru godzinach takiego wędrowania po lesie zrobiliśmy się głodni. Najstarszy z nas – Bolek, zarządził przerwę na obiad. Bolek był bardziej dorosły od nas wszystkich. Miał szesnaście lat. I dlatego został sierżantem. Każdy miał w plecaku coś do jedzenia, włożonego tam przez mamę lub siostrę. Ja miałem suchary i ciepłe mleko w termosie. A po drodze znaleźliśmy jeszcze maliny.

Nie wiem, która była godzina, bo nie mieliśmy zegarka. Mój ojciec kiedyś miał zegarek. Taki ładny, ze skórzanym paskiem. Po dzia-dku. Ale przyszli żołnierze i zabrali zegarek. I jeszcze mówili coś w obcym języku, ale ja nie znam tego języka i nie wiem co mówili. W każdym razie teraz jest wojna i nikt u nas na wsi nie ma zegarka.

Mój tata mówił, że ludzie zawsze bawili się w wojnę. Tacy jak my biegali i się strzelali, a bogatsi i bardziej znani mówili im do kogo mają strzelać. A ci najbogatsi i najbardziej znani bawili się w strategów. Mieli duże mapy i żołnierzy, i czołgi, i okręty. Rozstawiali je na tej mapie i wygrywali wojny. Ja też chciałem zostać takim strategiem albo chociaż średnio znanym dowódcą. Dlatego kupowałem sobie co tydzień w sklepie w mieście ołowiane żołnierzyki. Po paru miesiącach miałem już całkiem dużą armię i ustawiałem ją w kuchni na podłodze. Czasem też strzelałem do niej z kolegami z takiej małej procy i żołnierze przewracali

 Mirosław Koczkodaj

się i ginęli. Teraz jestem takim zwykłym szeregowym żołnierzem, ale jak będę dobrze walczył, to na pewno zostanę strategiem. Mój tata mówi, że nie można tak sobie zostać strategiem, ale ja i tak zostanę. Po obiedzie ruszyliśmy dalej. Przed wyjściem powiedzieli nam, że wieczorem dotrzemy do bazy. Do wieczora było jeszcze daleko, więc do bazy też. Ciekawe, czy w tej bazie są sanitariuszki?

Ale nie całą drogę mieliśmy taką spokojną i zieloną jak mech i paprocie. W pewnej chwili usłyszeliśmy szelest. Ten najmłodszy – Jasiek od spodni po siostrze sanitariuszce – krzyknął, że to dzik. To było ostatnie, co krzyknął. I przewrócił się jak ołowiany żołnierz zestrzelony z procy. Szkoda mi tego Jaśka, bo to był fajny chłopak. Bardzo wesoły. I lubił opowiadać historie, których wszyscy chętnie słuchaliśmy podczas tego wspólnego obiadu z malinami.

My schowaliśmy się w dole za leszczynami.

Słyszałem strzały i co chwila jakieś okrzyki w obcym języku. Chyba tym samym mówili ludzie, którzy zabrali mojemu tacie zegarek. My też mieliśmy broń, więc strzelaliśmy. Trochę na oślep, bo zza gałęzi niewiele było widać, ale chyba kogoś trafiliśmy, bo tamci się wycofali. Nas też trafili. Na pewno oberwał Heniek. W nogę. Przewinęliśmy tą nogę chustką i pomogliśmy mu iść. Bardzo go bolało, chociaż nic nie mówił. Nawet próbował się uśmiechać. Ale to był taki wykrzywiony uśmiech. Przez łzy. Na miejscu zabiorą go pewnie do szpitala i tam sanitariuszki zrobią tak, że nie będzie go bolało. Wkrótce dotarliśmy do bazy. Wyszedł do nas taki duży i groźnie wyglądający żołnierz, któremu złożyłem raport: „Wyszło nas pięciu albo sześciu, dotarło trzech i pół.”.





TOMASZ JAKUBIAK

NIEBIESKIE DNI, BURSZTYNOWE NOCE

Słyszysz? Czy mnie słyszysz? Mówię właśnie do Ciebie. Słowa, które dźwięczą w tej wieczornej ciszy są właśnie dla Ciebie. Powiem: szum nieprzemierzonego morza, szum przesypującego się przez palce piasku, oddech drzew wyrastających poza wydhami, w których chciałby zamieszkać nadmorski wiatr. Usłyszysz mruczenie fal, czas przesypujący się w klepsydrze, zawodzenie wiatru nie mogącego odnaleźć dla siebie miejsca.

II

Cóż więcej mogę Ci dać niż te słowa, w które nikt nie chce uwierzyć? Cóż więcej niż te wersy zapisane w chwilach ciszy i upojenia ciemną jak kruk nocą? A jeśli powiem Ci, że lubię zapach deszczu i dotyk jego kropel na twarzy i że lubię, gdy wiatr głaszcze moje policzki, to byłabyś gotowa uwierzyć?

W naszym Bursztynowym Domu będzie czekała na Ciebie moja nieobecność. Wypalone drwa w kominku. Zimna woda w czajniku i pusty kubek do kawy. Niepotrzebna nikomu gazeta z ogłoszeniami o pracy. Wypisany długopis, który obracałem w palcach. Przeciwsłoneczne okulary chroniące mój wzrok. I koszula, którą przytulisz do twarzy, by chłonać mój zapach.

Usiądziesz przy stole i spojrzysz w okno, za którym będzie zapadać zmierzch i milknąć zgiełk nigdy nie śpiącego miasta. Przypomnisz sobie moje słowa, które opłatały Twoje myśli. Które były Ci najdroższymi ze wszystkich słów, które budziły Cię każdego poranka i koły przed zaśnięciem. Przypomnisz sobie moje spojrzenie; to samo, w którym się przeglądałaś i w którym byłaś głębiej niż ktokolwiek, kiedykolwiek i gdziekolwiek.



I dlatego staniesz przed lustrem. Podniesiesz
oczy i spojrzysz we własne odbicie. I gdzieś
tam, na dnie źrenicy, odbije się Twoja
postać. Ujrzysz człowieka, który zamieszkał
w najdalszych zakamarkach mojej duszy.
I wtedy ktoś cicho zapuka do drzwi.
Podejdiesz i otworzysz je.

Tym kimś będę ja.

IV

Byli tam oboje. Oboje przed wyznaczoną go-
dziną spotkania. On 20 minut wcześniej.
Rozglądał się w tłumie, próbując rozpoznać
jej twarz. Potem postanowił pospacerować
uliczkami Starego Miasta, aby uspokoić
swoje myśli przed niewiadomą. Kiedy
odszedł, przyszła Ona. Było to o 15 minut
wcześniej od wyznaczonej godziny spo-
tkania. Rozglądała się w tłumie, próbując
rozpoznać jego twarz. Potem postanowiła
pospacerować uliczkami Starego Miasta.
Myśleli o sobie, o tym, że za pewien czas,
choć wskazówki zegara zdawały się
przysnąć, poznają się, usiądą naprzeciw sie-
bie i zamienią kilka słów, które, być może,
zmienią ich życie.

Wiesz, to jest taka chwila, w której mogłabym
Ci oddać wszystko. I niczego nie prosić w
zamian. Niczego nie oczekiwać. Chciała-
bym być po prostu Twoją. Być Twoją ko-
bietą. Niczyją inną. Tylko Twoją. Być może
za godzinę lub trzy będę Cię po prostu nie-
nawidzić. Ale to będzie za tę cholerną go-
dzinę lub jej dwie bliźniacze siostry. Teraz
chcę po prostu patrzeć w Twoje oczy.
Poczuć Twoje dłonie na mojej twarzy. Jak
głaszczą moje policzki. Jak Twoje palce
wtapiają się w moje włosy.

To jest taka chwila, w której mogłabym się w
Tobie zatracić. W której cała przeszłość jest
nic nieznaczącym ziarnkiem piasku, co
dostało się do oka i wypłynęło łzą, którą
osuszysz ustami.

Jeszcze miesiąc temu nie sądziłam, że istnieje
ktoś taki. Że powiem Ci to, o czym myślę. I
że nie będę się martwiła o własne słowa. Bo
chcę Ci je powiedzieć jak nikomu innemu. I
patrzeć Ci przy tym prosto w oczy.
Przejrzeć się nich i dostrzec, jaką jestem
naprawdę.

Wiesz, to jest taka chwila, w której mogłbym
Ci oddać wszystko i niczego nie prosić w
zamian. Niczego nie oczekiwać, a może
jednak oczekiwać, że zabierzesz mnie na
Twoją bezludną wyspę, na której nie będzie
nikogo prócz nas. I będzie to miejsce, w
którym nikt nie pozna ani Ciebie ani mnie.
Być może za godzinę lub trzy będę Cię po
prostu nienawidzić. Ale to będzie za tę cho-
lerną godzinę lub jej dwie bliźniacze siostry.
Teraz chcę po prostu patrzeć w Twoje oczy.
Objąć dłońmi Twoją twarz. Głaskać Twoje
policzki, wtopić moje palce w Twoje włosy.
To jest taka chwila, w której mogłbym się w
Tobie zatracić. W której cała przeszłość wy-
daje się pyłem na skrzydłach ćmy. Jeszcze
miesiąc temu nie sądziłem, że istnieje ktoś
taki. Przecież ja Ciebie wymyśliłem.
Powstałaś z moich słów, z moich snów i z
marzeń, które zabijałem w sobie przez wiele
lat. I zanim przyszedłaś zapomniałem o Tobie.
A teraz odświeżyłaś wszystkie wspomnie-



nia. I wiesz, nadeszła najszcześniejsza chwila mojego życia. Cokolwiek stanie się za jakiś czas, ktokolwiek będzie z Tobą i z kimkolwiek będziesz Ty. Wiem jednak, że pozostaniesz na zawsze; jeśli nie w tym świecie, to w którymś z do niego podobnych. Powiem Ci, o czym myślę. I nie będę się martwić o własne słowa, Bo chcę Ci je powiedzieć jak nikomu innemu. I patrzeć Ci przy tym prosto w oczy. Przejrzyć się w nich i dostrzec, jaki jestem naprawdę.

Kupiła mu bukiet konwalii nie wiedząc, że On zrobił to samo dla Niej. Dlaczego spośród wszystkich kwiatów wybrali akurat te? Czy sprawiły to stojące na chodniku przypadkowe kwiaciarki? Czy przyczyną była biel kwiatów komponująca się z rozchylonymi świeżą zielenią liśćmi? Przecież równie dobrze mogłyby być to bez, którym pachnie jej skóra. Albo róże. Albo tulipany. Albo może maki zaczerwieniające podmie-

skie łąki. Wybrali jednak konwalie. Teraz cały świat pachnie konwalia.

IX

Na moich dłoniach wzrasta soczysta zieleń.
Moje dłonie są łąką, w której się zanurzysz.
Miękkim dywanem, do którego przytulisz
twarz i spokojnie zaśniesz.

Dotknę Cię dojrzałymi żdźbłami traw, rozbudzę zapachem rumianków, błękitnych chabrow, w których przegląda się niebo, moją krwią nabrzmiałych maków, wyściełanych słońcem jaskrów, kąkoli tętniących purpurą i księżycową bielą muśniętych stokrotek.

A potem wchłonę Cię w moją zieleń. I nasza krew będzie zielona. W zielonych krwiobiegach tętniących życiem.



MAGDA RACZKO PIETRASZAK

Noc,
grobla,
dwa stawy,
pełnia,
dwa księżycy.
Spadają gwiazdy.
Sierpień.

Cisza
przeleciał ptak,
Cisza
spadł liść,
Cisza
powiał wiatr.

Pole
z gruszą,
dzielone miedzą.
Wielki kamień

pilnuje porządku
pór roku.
Zielone zboże,
wyzłociło się,
usiadło snopami,
pachniało rżyskiem.
Wszystkie ugry
i sieny palone.
W jesiennych mgłach
czeka na pierwszy
śnieg.

Każde słowo
raz powiedziane
zawsze będzie żyło.
Ludzie nie odchodzą
tylko my
już ich nie mamy.
Życie i śmierć
Kropla wody
na rozgrzaną blachę kuchni.



JOANNA DE ALBA

ŻYWOT NADOBNEJ LUIZY (FRAGMENTA)

Przygoda pierwsza

Nadobna Luiza chwyciła w swą dłoń mosiężny młotek, którym wbiła gwoźdź w ścianę. Zastanowiła się chwilę nad swoim postępowaniem, po czym wzięła następny młotek. Namiećnie kontynuowała zaczęłą pracę. Śpiewała przy tym swą ulubioną pieśń „Hej tam, mistrzu panie”¹ – brzmiał jej wdzięczny głos. Była pewna, że nikt, ani nic, nie przeszkodzi jej w oddawaniu się pasji i nieświadoma grożącego jej niebezpieczeństwa. W trakcie wbijania piątego gwoźdź usłyszała zbliżające się kroki. Wielu historyków toczy spór o to, co myślała wtedy nadobna Luiza. Zdania są podzielone. Jeden z najwybitniejszych badaczy w tej dziedzinie, prof. Bożydar Bączek-Grzyb, tak oto pisze w swojej książce: „Luiza musiała być świadoma grożącego jej niebezpieczeństwa. Była kobietą o wybitym darze preczuczania takich rzeczy. Już we wczesnym dzieciństwie występowały u niej zdolności paranormalne. Potrafiła na-

wet przyrządzić kolację, co – jak wiadomo – jest rzeczą niebywale trudną. Musiała więc od samego początku czuć, co może się stać. Jakże dobitnie świadczy o tym jej pasja do zbierania młotków i innych tępych narzędzi”².

Innym razem szła Luiza łąką i zobaczyła pasącego łamy młodego mężczyznę. Zdziwiła się bardzo na ten widok, gdyż nie widziała tu wcześniej tego chłopca. „A co to za Jełop?”³ – pomyślała Luiza.

Istotnie, nie wyglądał na bystrego. Postanowiła tak go tam nie zostawiać. Szybko wymyśliła nowy podstęp. Wróciła do domu i przebrała się za algierskiego handlarza lamami. Następnie ponownie udała się na łąkę. Jednak nie zastała tam już pastucha. Bardzo się tym zasmuciła, lecz postanowiła poszukać nowych przygód.

Udała się za rzeczkę, do małej chatki, w odwiedziny do swego długoletniego przyjaciela Kleofasa K. Wierny przyjaciel przyjął ją bardzo gościnnie. Własnoręcznie przygotował ciasto z jagodami, które poprze-



dniego dnia uzbierał w pobliskim lesie – strasznym i ciemnym, że aż strach¹. Oprócz tego podał herbatę malinową, którą, jak przystało na dobrego gospodarza, sam ususzył z malin własnej uprawy. Luiza była zachwycona ciastem, lecz nie śmiała zapytać o przepis na ten cudowny wypiek. Postanowiła zdobyć go w inny sposób. Kiedy Kleofas udał się na chwilę w ustronne miejsce, wyjęła z szuflady jego tajny notes i odszukała w nim przepis na ciasto. Beznamiętnie wyrwała kartkę i schowała sobie pod bluzkę. Po skonsumowaniu pysznej herbaty pożegnała się czule z przyjacielem i udała w drogę powrotną, myśląc o sekretnym przepisie Kleofasa K. Postanowiła wykorzystać recepturę jak najszybciej. Jednak do zrobienia ciasta potrzebowała jagód z bardzo ciemnego i strasznego lasu. Nie ulękła się jednak, tylko energicznym krokiem poskakała w stronę lasu. Zachęcana śpiewem małych leśnych ptaszków, drących się bezmyślnie, schylała się po pyszne owoce. Kiedy uzbierała potrzebną ilość, poczuła, że jest spocona. Zapragnęła się orzeźwić. Przypomniła sobie, że w lesie jest małe jeziorko położone w ustronnym miejscu. W sam raz na kąpiel. Pobiegła tam czym prędzej i już po chwili

pływała w czystych wodach jeziora. W pewnym momencie usłyszała jakiś dźwięk dochodzący zza krzaków. Przestraszyła się ogromnie, gdyż pomyślała, że to jakiś dziki i groźny zwierz czyha na nią. Był to jednak ów pastuszek, którego rano widziała na łące. Chłopiec nie był świadomy tego, że w jeziorze jest kąpiąca się niewiasta.

Luiza pomyślała, że mały zboczeniec przyszedł ją podglądać podczas kąpieli. Wyszła z wody i chwyciła leżący na ziemi, gruby kij. Podkraśla się do chłopca od tyłu i uderzyła go w głowę. Nieszczęsny padł trupem na ziemię. Luiza zastanowiła się chwilę, gdzie może ukryć zwłoki. Na szczęście zawsze nosiła w swojej torebce małą, podręczną łopatkę. Zaczęła kopać dół. Po godzinie było już po robocie.

Wróciła zmęczona do domu i wzięła się za robienie ciasta jagodowego według sekretnego przepisu Kleofasa.

¹ W. J. Bucał, Pieśni ludowe i inne bajery, Żelizna 1999.

² B. Bączek-Grzybał, Piękna Luiza. Prawda i legenda, Kostomłoty 2007.

³ Pamiętniki Luizy, opr. dr A. Gieroj, Alba 666 p.n. Ch.

⁴ Istotnie, było to bardzo straszne miejsce [przyp. Red.].

Przygoda druga

Spośród wielu przygód nadobnej Luizy warto przypomnieć jeszcze jedną. Pewnego pięknego letniego dnia Luiza była umówiona w miejscowej karczmie na randkę z księciem Wallinny Erazmem Wallinnianym. Była tym bardzo podekscytowana. Znaleźli się jednak tacy, którzy byli zazdrośni o szczęście Luizy. Wśród nich księżna Hwalichwostów, wdowa po wspaniałym księciu Onufrym II. Chciała przejąć ogromny majątek księcia Erazma. Był na to tylko jeden sposób. Musiałaby go poślubić. Księżna Hwalichwostów była nadal piękną kobietą i miała duże szanse u młodego i niedoświadczonego życiowo księcia Erazma. Na jej drodze stała tylko jedna przeszkoda - nadobna Luiza. Udała się więc do sławnej w okolicy wiedźmy, by ta sporządziła jej truciznę dla Luizy. Wyposażona w magiczne zielska przebrała się za barmankę w karczmie, w której byli umówieni Luiza i

książę Erazm. Wsypała zioło to koktajlu jagodowego, który był przysmakiem Luizy. Niestety, zamiast Luizy, napój wypił Erazm i natychmiast zeszytniał. Księżna była załamana. Cały majątek księcia przeszedł na Skarb Państwa. Osamotniona Luiza też nie dostała spadku. Zastanawiała się tylko, co było przyczyną zgonu młodego księcia. Przeczuwała, że w całej tej sprawie maczała palce, a może nawet i całą rękę, księżna. Nie tracąc czasu na szukanie dowodów postanowiła się zemścić. Porwała kotka księżnej i zażądała ogromnego okupu. Zrozpaczona księżna wypłaciła jej całą sumę, którą Luiza przeznaczyła na hodowlę herbaty malinowej w ogrodzie Kleofasa. Kleofas był za to bardzo, ale to bardzo, wdzięczny. Jego hodowla stała się największą tego typu hodowlą na świecie.

Luiza też miała powód do dumy, gdyż bardzo lubiła tę herbatę, a teraz dostawała regularnie świeże dostawy owego smakołyku.





MARIUSZ BOBER

STROFY DLA CIEBIE

Często zastanawiam się czy jesteś czy czekasz gdzieś na mnie
 Myślę o Twoim imieniu uśmiechu włosach i oczach
 Często w moich myślach
 Chodzimy na spacer
 Raz jest to molo i morze
 A raz ścieżka przez złociste zboże
 Często zastanawiam się
 Jak jeszcze daleko jesteś
 Jak długo wytrzymają te róże które stale dla Ciebie kupuję
 Czasami chodzimy w deszczu pod rękę
 Gdzie tylko naszą radość
 Parasol dzieli
 Później jeździmy po nieba tęczy
 Wrzeszcząc z zachwytu
 Jak małe dzieci
 Kiedy wieczór nastaje
 Idziemy alejką w parku
 Gdzie są jesienne ławeczki
 A liście w stawie
 Udają senne stateczki
 Przez ramiona drzew
 Księżyc swoje dłonie przedziera
 By nadać blasku
 Twoim włosom
 Później siadamy na ławkach
 Czekając na siebie
 Ja jestem tutaj
 Ty pewnie gdzieś tam
 Może na razie
 Niech tak zostanie
 Ja tutaj
 Ty tam
 Może kiedyś
 Spotkamy siebie
 Na tej samej alejce
 Wyrwani z letargu marzeń
 Wyjdziemy z domu
 W tej samej chwili
 I może to wtedy będzie
 Ty zobaczysz mnie a ja Ciebie





ADAM ŚWIĆ

U NAS ZA STODOŁĄ KRÓTKIE HISTORIE

UPAŁ

„Te Zielone już niedługo zmiotą całą konkurencję” – pomyślał Konopka, patrząc przez okno na pojazd salesmana odlatujący sprzed sklepu. Otarł czoło chusteczką i zabrał się do ustawiania na półkach butelek z „Marsjanką”. Po lewej stronie niegazowana, gazowana po prawej.

KOVALSKY

Kovalsky nie lubił pytań o wczasy. Koledzy z biura po powrocie z tradycyjnych międzygalaktycznych wojaży, pytali „Gdzie spędziłeś urlop?” tylko po to, by go upokorzyć. Kovalsky jednak, z właściwą sobie flegmą i godnością, odpowiadał nieodmiennie: „Byliśmy z żoną na Marsie”. Kpiny puszczał mimo uszu. Nie, nie zamieniłby się z nimi. Nie zazdrościł im ani egzotycznych podróży, ani erotycznych podbojów na odległych planetach, którymi tak często się przechwalali. Na Marsie miał coś, czego nie było nigdzie indziej: święty spokój i ciepłe Morze Sodowe, w którym co roku podlegał swój gościec.

ROPUCHA

Pamiętam jak dziś: to był wtorek, piłem właśnie herbatę, kiedy do biura skocznie wlaźła ropucha. Najpierw rozejrzała się uważnie po pokoju, zgrzytliwie wyskrzeczając „dzień dobry”, a potem skierowała się prosto w moją stronę. Wtuliłem głowę w ramiona, próbując ukryć się za stertą papierów. Jako niewykwalifikowany praktykant nie miałem doświadczenia w załatwianiu petentów, a ta sytuacja w ogóle wydawała mi się nietypowa, bo w życiu nie słyszałem, żeby ropuchy odwiedzały urzędy państwowe. Uśmiechnąłem się jednak i spytałem grzecznie: „Czym mogę służyć?”. I tak wszystko się zaczęło.

Pierwsze dni nie były łatwe. Spadło na mnie

odium społeczeństwa, dotknęły nietolerancja i brak zrozumienia. Jednak nie trwało to długo. Okazało się, że w baśniach dla dzieci tkwiło ziarno prawdy. Już pierwszy porządny pocałunek załatwił sprawę.

Dziś jesteśmy szczęśliwym małżeństwem.

Mamy sporo już usamodzielnionych dzieci i trochę kijanek. Latem polujemy na robaki, zimę przesypiamy w ziemi. Normalne, spokojne życie. Dokładnie takie, o jakim marzyłem.



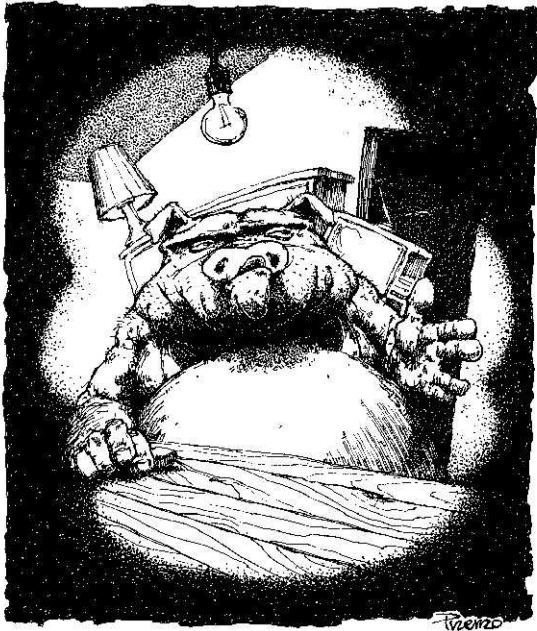
MARIAN

Marian przyszedł do roboty ze świńskim ryjem. Przez pierwszą godzinę nawet żeśmy tego nie zauważyli, ale kiedy siedliśmy na papierosa majster zapytał, gdzie ty Marian wczoraj był żeś taki zmarnowany? Fakt, Marian ładny nie był nigdy, ale teraz to przesadził.

Tak się ześwinić...

Dopiero po paru dniach, kiedy już żeśmy się właściwie przyzwyczaili do jego mordy, Marian opowiedział nam co się stało. Był na imieninach u swojego szwagra Janka. U Janka jak to u Janka. Towarzystwo fajne,

tyle że szemrane. Była tam też Czarna Wioletka. Coś tam jej widocznie Marian podpadł, bo go przekleła na odchodnym. I rano Marian patrzy w lustro, a to nie on. I tak już zostało. Później ktoś mi powiedział, że widział w jakiejś chlewni knura z gębą Mariana, ale to chyba bujda.



ZIELIŃSKI

Kiedy stary Zieliński umarł, nikt nie przypuszczał, że zostawił po sobie testament. Pośród sterty rupieci, które zalegały jego małe mieszkanie, znaleziono jednak szarą teczkę, a w niej kopertę z ostatnią wolą zmarłego. Wszystko co miał, a nie miał za wiele, Zieliński przeznaczył na dobroczynność. Był bowiem dobrym człowiekiem. Niewielu mogło tego doświadczyć, bo prowadził życie samotnika, ale ja znałem go dobrze. Łączyła nas wspólna pasja: piłka nożna.

W testamencie było jeszcze jedno zdanie dotyczące pochówku. Szokujące, frenetyczne i skrajnie ekscentryczne, choć Zieliński bynajmniej ekscentrykiem nie był. Otóż, ni mniej ni więcej, stary prosił, żeby pochować go pod polem karnym naszej ukochanej drużyny. Ja tam go rozumiałem. Sam może też chciałbym tam

spocząć, ale nie pozwoliłaby na to moja rodzinka. Niestety, życzenie z testamentu łatwe do spełnienia nie było. Ani klub, ani tym bardziej władze gminy, nie wyrażały na to zgody. Z powodów sanitarnych, jak mówiono. Zastanawiałem się, jak obejść przepisy, żeby mój stary kumpel mógł bywać na meczach także po drugiej stronie życia.

Pomysł był prosty i szybki jak strzał z woleja. Po skremowaniu zwłok pod osłoną nocy zmieszałem starego Zielińskiego z wapnem do znaczenia linii.

Drużynie zaczęło iść jak nigdy. Wygrywaliśmy mecz za meczem, często w nieprawdopodobnie szczęśliwych okolicznościach. Strzały rywali zatrzymywały się na słupkach lub poprzeczce, piłka stawała w błocie na linii bramkowej, przeciwnicy dubletami nie wykorzystywali rzutów karnych. Awansowaliśmy nawet do II ligi i wtedy skończył się zapas wapna. Wszystko powoli wróciło do normy. Choć i dziś mam czasem wrażenie, że stary jest z nami.

Bóg ponoć nie miesza się do spraw piłki nożnej. Kto Go tam zresztą wie? Ale wypadek z Zielińskim przekonał mnie, że po śmierci zabieramy ze sobą naszą największą miłość. Jakakolwiek by ona nie była.

SNY

Przez długi czas kładłem się spać wcześniej.

Kładłem się spać wcześniej przez długi. Czas, który przesypiałem był przecież wolny od jakichkolwiek wydatków. Oszczędzałem więc na jedzeniu, na energii i rozmowach telefonicznych, których śpiąc nie prowadziłem. Śniłem także dosyć oszczędnie. Nigdy nie pozwalałem sobie na przykład na sny erotyczne, w których mógłbym się uwikłać w jakąś damsko – męską kabałę, a to – jak wiadomo – sporo kosztuje. Kontrolowałem też sny o egzotycznych podróżach, wybudzając się zawsze wtedy, kiedy zaniósł mnie gdzieś dalej niż na Węgry czy do Bułgarii, i dosłownie wszystkie sny związane z zakupami. Po pewnym czasie doszedłem do dużej wprawy w cenzurowaniu własnych sennych marzeń.

Sny sąsiadów zrazu tylko słyszałem. Taka

senna fonia bez wizji. Starsza pani spod piątki zasypiała równie wcześnie jak ja. Jej sny były ciche, niepewne i coś w nich stale szeptało. Za to sny pana Tadka z drugiego piętra były dokładnie takie jak i on sam – rozchichotane i rozgadane. Potem zacząłem je widzieć, a za czas jakiś mogłem dowolnie wpływać na ich treść. I tak zostałem hakerem snów. Wszechpotężnym i bezkarnym. Bo niby dlaczego inni mają mieć lepiej ode mnie.

ROZWIĄZANIE

Znana powszechnie historyjka o kaczkach, które w zimowy poranek przysiadły na wodzie, przymarzły do lodu i zmuszone były zabrać jezioro ze sobą, to niewiele w porównaniu z wydarzeniem, które miało miejsce wiosną tego roku we wsi Dzioby Stare w powiecie międzyrzeckim, gdzie miejscowy wójt rozwiązał stado krzyżówek. Pan Stanisław Twaróg od lat słynął w całej okolicy jako wytrawny amator rozrywek umysłowych, ale jego wyczyn nie przejdzie do historii szaradziarstwa lecz wpisze się złotymi zgłoskami do annałów polskiej samorządności lokalnej. Cała gmina była od wczesnych lat siedemdziesiątych nękana przez monstrualne stado kaczek, które zanieczyszczały teren i zakłócały spokój mieszkańców tej urokliwej miejscowości. Kiedy w wyniku jesiennych wyborów ukonstytuowała się nowa Rada Gminy, na jednym z pierwszych jej roboczych posiedzeń wójt Twaróg postawił wniosek o przeprowadzenie gminnego referendum w sprawie lokalizacji szkoły, przy okazji którego postawiono także pytanie: czy jesteś za rozwiązaniem stada kaczek krzyżówek? 73,4 % uprawnionych (przy niemal 82% frekwencji) odpowiedziało się za rozwiązaniem, co dało wójtowi i Radzie Gminy podstawę do podjęcia formalnych działań służących załatwieniu tej sprawy. Starania te zostały uwieńczone sukcesem w pierwszej dekadzie maja b.r., kiedy to wójt specjalnym zarządzeniem rozwiązał krzyżówki.

KLURGI

„Szanowni zebrani! Mijająca pięciolatka przyniosła dalszy wzrost liczby klurgów na terenie naszego powiatu. Mimo przejściowych kłopotów materiałowych i lokalowych osiągnęliśmy poziom klurgizacji o 2,7% przekraczający średnią krajową. To nasze wspólne wielkie osiągnięcie! Ale nie wolno nam też zapominać, że reakcją, poprzez swoich trzymanych na krótkiej smyczy podżegaczy, nie ustaje w wysiłkach, by te nasze sukcesy umniejszyć, a nawet ośmieszyć. Z tego miejsca chcę głośno i wyraźnie powiedzieć: są granice, których przekroczyć nie wolno! Dlatego też ci, którzy mówią, że stoliki w czytelnich powinny służyć do czytania a nie do wykreślania klurgów, muszą się liczyć z tym, że im władza ich kłamliwe usta zaknebluje. Zaś ci, którzy rozpuszczają pogłoski, jakoby coraz mniej świętych dziewic było świętymi dziewicami, muszą się spodziewać, że im władza zorganizuje takie miejsca odosobnienia, gdzie już żadnych słuchaczy nie znajdą.

Droży delegaci! My, jako szermierze dobrej sprawy, musimy mocniej zewrzeć szeregi w obliczu wyzwania jakie niesie przyszłość!”



DIABEL

Już nie pamiętam kiedy pierwszy raz go spotkałem. Podejrzewam, że było to na jakiejś prywatce przy adapterze marki „Bambino”. Do złudzenia przypominał wyrośniętą sowę z małym wąsikiem i wystającymi kośćmi policzkowymi. Tyle, że był cały czarny. Mój bies, mój osobisty diabeł. Na początku myślałem, że jest tworem młodościowej imaginacji wzmocnionej nie-najdroższym winem – zwłaszcza, że nikt poza mną nigdy go nie widział. Ale nie. Siadywał skromnie gdzieś z boku, mruczał coś – ni to do siebie, ni do mnie – a potem zniknął zostawiając po sobie tylko leciutki zapach zepsucia.

I w taki efemeryczny sposób towarzyszył mi przez lata. Przyzwyczałem się do niego, ba, nawet jakoś tam polubiłem, choć przecież skłamałbym twierdząc, że nie wiedziałem jaką instytucję reprezentuje. Nigdy nie próbował jednak podsuwać mi żadnych cyrografów czy czegoś w tym stylu. Widywałem go w samochodzie, w domu i w biurze. Po prostu czasem się pojawiał, by potem zniknąć w równie tajemniczych okolicznościach.

To, skąd się brał, z właściwym sobie refleksem odkryłem dopiero po latach. Skojarzyłem, że rodził się w czasie gdy słuchałem przebojowej rumby z tekstem o nim samym. Teraz już wiem, że pojawiał się, by poprosić o odrobinę współczucia.



ASMABEL

W takim kontenerze nic się właściwie nie dzieje. W środku ciemno, tylko po kątach nieruchome światełka wiszą jak robaczki świętojańskie. Żółto pulsują, każde wielkości łebka od szpilki. Nic ciekawego. Te jasne punkciki blado oświetlają wnętrze skrzyni. Oświetlają Asmabela. Asmabel jak to Asmabel. Leży, uśmiecha się kwaśno, ziewa. Nuda koszmarna. Składa i rozkłada się jak scyzoryk – dla zabicia czasu. Nie ma wczoraj, nie ma dziś, nie ma jutro.

To jest jedyna prawda o tym kontenerze. Innej prawdy nie ma.

DZIWNĄ MATERIA

Najpierw zauważyłem, że sportowcy, których podziwiam, stali się dużo młodszy ode mnie. Potem z przerażeniem odkryłem siwe włosy na skroniach. Zadyszka na schodach była logiczną kontynuacją wcześniejszych wypadków. Zrozumiałem, że się starzeję. Starzeję się!

Czym jest starość? To niemalże eschatologiczne pytanie zadawałem sobie coraz częściej. I z każdym dniem wiedziałem o niej więcej i więcej.

Dziwną materię znalazłem zupełnie przypadkowo w szafie. Szukałem właśnie zgubionych okularów (miałem je oczywiście na własnym nosie), kiedy odkryłem tam belę dziwnej materii w kratę. Pan Pietruszka uszył mi z niej marynarkę i dwie pary spodni. Szczególnie marynarka miała niesamowite właściwości: dwurzędowa, modnie skrojona, skromna, ale elegancka. To w niej spodobałem się nieprawdopodobnej pani Marzence i moje życie zupełnie się odmieniło.

Nie, nie przestałem się starzeć. Praw natury nic nie może zmienić.

OGŁOSZENIE MATRYMONIALNE

- Pyta pan dlaczego dałam to ogłoszenie...
Przyczyna jest najoczywistsza z możliwych.
Przecież, na dobrą sprawę, mam tylko jedno.

- I on pani nie wystarcza?
- Ależ tak! To znaczy...tak, ale...
- Ale?
- Stawia mnie pan w kłopotliwej sytuacji. No dobrze, będę szczerą do końca. Nie wystarcza mi do wszystkiego. Owszem, zaspokajał mi bardzo długo naturalną u każdej kobiety potrzebę opiekuńczości, stymulował mój instynkt, wypełniał bez reszty wolny czas. Jednak któregoś dnia pomyślałam, że to nie wszystko, że kobieta powinna mieć też inne pragnienia. Na początku wstydziłam się tej myśli. Wydawało mi się, że to rodzaj zdrady. Dziś uważam, że mam prawo związać swoje życie z jakimś mężczyzną. Pod warunkiem, że on także ma przynajmniej stuletniego steelwheelsa. Pan ten warunek spełnia...
- Już nie pan. Proszę mi mówić po prostu Waldemar. Rozumiem cię, Paulino – o ile mogę tak do ciebie mówić – lepiej niż myślisz. Ja też kocham mojego nad życie. Zmieniłem pracę, żeby móc lepiej się nim opiekować. Brałem bezpłatne urlopy kiedy był zepsuty. Wyrzuciłem z domu telewizjer, bo podejrzewałem, że jest zazdrosny. Teraz jednak myślę podobnie jak ty. I myślę jeszcze – ba, jestem pewien – że się zaprzyjaźnią.
- To jest drugi z moich warunków. Wiesz co? Poznajmy ich ze sobą już teraz, natychmiast! Na wszelki wypadek wzięłam przewodzik...

SYLWESTER

To był wyjątkowo trudny rok. Spojrzenie na niego z perspektywy sylwestrowej nocy – spędzonej jak zwykle w trwożliwej samotności – nie mogło być inne. Był wyczerpany do granic możliwości. A co stanie się po północy...? Bał się. Jak zawsze. Może nawet bardziej niż zawsze.

W mijającym roku słyszał ludzkie marzenia. Marzenia całego miasteczka: dzieci, ich rodziców i dziadków. Marzenia możliwe i niemożliwe do spełnienia, perwersyjne i niewinne, wielkie i zupełnie malutkie, piękne i mniej piękne. Miał w związku z tym ogromne kłopoty ze zmrużeniem oka, bo ludzie – nie wiedzieć czemu – potrafią marzyć o najróżniejszych porach dnia i nocy.

Wszystko zaczęło się niewinnie. W wieku trzynastu lat pierwszy raz usłyszał jak przechodzi ludzkie pojęcie. Ale to jeszcze nic. Potem słyszał galop inflacji, upadki moralne, zejścia śmiertelne i tupot prątków Kocha. Próbował się leczyć, a jakże, ale kiedy powiedział lekarzom, że nie może pracować, bo słyszy wyrzuty sumienia kadry kierowniczej, dano mu do zrozumienia, że nie ma dla niego lekarstwa.

Rodzaj tortur zmieniał się co roku – właśnie w sylwestrową noc. O dwunastym uderzeniu zegara wstrzymał oddech. Milkły już wystrzały petard. W ich miejsce wsączał się charakterystyczny szum jakby husarskich skrzydeł. Już wiedział. Tak może szumieć tylko wiatr historii.

TTR

A wywalał kiedyś pan profesor gnój z obory widłami? Chłopaki z miasta mówią na to „zrywanie parkietu”. Na pewno pan nie wywalałeś, a wymądrzasz się na temat nawozów naturalnych. No pewnie, że nawóz naturalny jest najwartościowszy. Skąd zresztą wziąć sztuczne? Nawet w kółku nie mają. To znaczy mają, ale nie dla każdego. Obowiązuje zasada „sami swoi”. I nie ma mocnych...Że co? Produkcja mocznika wzrosła o trzydzieści siedem procent w ciągu ostatniej pięciolatki? Jasna sprawa. Kiedy partia mówi, że bierze, to bierze, a kiedy mówi, że daje, to mówi.

Teraz matematyka. Ma-cierz ma-te-ma-tycz-na... Po łacinie ma-trix. Matrix. Co za cholera? W świecie matematyki, panie doktorze, to panuje ład, porządek i logika, ale świat rzeczywisty jest zupełnie inny niż się panu wydaje. Dlaczego na przykład kurs dolara, cena dolara i wartość dolara to różne cyfry? Co, panie doktorze?

Mechanizacja rolnictwa. Ależ facet głądzisz. Snopowiązałka. Sno powiązałka... Wiązałka snów... Sny w snopkach... Sny w kopkach... Aaaaa... Sny w stodole... Aaaaa...

Nasz telewizz zasnął. Nie budźmy go. Szepnijmy tylko, że jest rok 1976 i trwa kolejny wykład Telewizyjnego Technikum Rolniczego – pierwszej w znanym wszechświecie wirtualnej uczelni, która wyprzedziła erę

Internetu zanim jeszcze ktokolwiek o nim pomyślał...

PIMP

Był raz sobie szczur leśny, który nazywał się Pimp. Pimp nie był specjalnie przystojny, ale w ogóle się tym nie przejmował. Właściwie chyba wcale go to nie obchodziło. Bo Pimp zajmował się zupełnie innymi sprawami. Od wczesnego dzieciństwa, kiedy był jeszcze małym szczurzątkiem, stawiał wszystkim napotkanym zwierzętom pytania w stylu: czym jest las, co to znaczy być leśnym szczurem, czy istnieje prawda obiektywna i takie różne. Zwierzęta, że nie potrafiły na nie odpowiedzieć, zdobywały się jedynie na riposty typu: „A co cię to obchodzi gówniarzu”, albo „A w ryja nie chcesz?”. Toteż Pimp był samotny. Był jesienny dzień. Pimp obserwował spadające liście i rozmyślał o przemijaniu. Nagle nostalgiczną ciszę przerwał trzask pękającej skorupki orzecha, a na ścieżynce przed Pimpem pojawiła się Miss Matecznika – wiewiórka Brižitka. Brižitka była głupia jak przysłowiowy pęk słomy, ale – trzeba oddać jej sprawiedliwość – miała naprawdę niesamowitą aparycję. Skłamałbym twierdząc, że Pimp wcześniej nie zwracał na nią uwagi. I owszem. Ale tego rodzaju zainteresowania spychał głęboko do podświadomości, bojąc się, że mogą one źle wpłynąć na przebieg procesów myślowych. Brižitka zagadnęła: „Cześć, Pimp. Co porabiasz?”. „Rozmyślam o ambiwalencji dojrzewania, które niesie ze sobą mądrość, ale i zbliża do nieubłaganego końca” – powiedział Pimp. „Eee...” – rzekła na to wiewiórka – „no to cześć”. I hyc hyc zniknęła za drzewami. Kiedy Pimp został sam, przez moment żałował, że na pytanie „Co porabiasz?” nie odpowiedział zwyczajowo „O tak se siedzę” – wtedy z pewnością Brižitka pobyłaby z nim dłużej, ale po chwili metafizyczny niepokój eschatologicznej zadumy wyparł z głowy szczura obraz rudej piękności. Tej nocy śniła mu się orzechowa szafa.

U NAS, ZA STODOŁĄ

U nas, za stodołą jest czakram. W burakach. Zbiegają się tam tajemne siły Wszechświata, dzięki czemu i buraki lepiej rosną. Szkoda tylko, że ląduje tam tyle pojazdów kosmicznych, bo co wygniotą to wygniotą. We wsi nikt już się temu nie dziwi. Na początku może i tak, ale nie teraz. Obcy przestali być obcymi. A i dla wioski to zaszczyt, że na lądowisko wybrali sobie nasze zastodole. Dogadujemy się z nimi po swojemu. Oni też nas chyba polubili. Wylądują, trochę posiedzą a potem odlatują do swoich spraw. Normalnie. Ja, jako emerytowany wiejski nauczyciel, z dziada pradziada mieszkam w tej wsi, chcę ocalić dla potomnych pamięć o tych spotkaniach. Piszę prozą i wierszem w brulionie w kratkę. Może kiedyś ktoś to wydrukuje w gazecie albo książce. Ot, na przykład to z początkiem z Norwida:

*Dodam tu, że Chińczykom, skoro ich obaczą,
najdziwniejszą się rzeczą wydają guziki
dwa – z tyłu! – te, pytają Chińczyki: „Co? znaczą...
K czemu? są... K czemu? służą...” – dziwią się
Chińczyki.*

Dodam też, że Hindusy, gdy ich ujrzą z dala, niezmiernie są zdumieni ichnimi czułkami i trzecim oczodołem, który się zapala, kiedy noc czarną suknią obszywa gwiazdami.

Dobawić pragnę również, że Amerykańce dziwują się, że mają szesnaście odnóży, trzy trąby – jedną wzierną, tę drugą z przyssańcem i trzecią, która głównie do blamblania służy.

Jest też, jak się to mówi, „na tym łąz padole” nacja, która sympatię wielką do nich żywi. Oni, gdy im z przytchawki strzykną etanolem, robią się bardzo mili i nic ich nie dziwi.





RYSZARD KORNACKI

W naszej miłości

I tak w tej naszej
jaskółczej miłości
niewinnej
jak nić babiego lata
a potem zaślepionej
złotym piaskiem słońca
i dojrzałej
niczym pękata wiśnia
napojona sokiem krwi

I tak w tej naszej
jaskółczej miłości
ktoś pociągnie
za spust
nienawiści
i wszystko rozpocznie się
od nowa
czyli od naszej
jaskółczej miłości.

Autoportret z gołębiem

Po deszczu rodzą się
najlepsze wiersze
Pęcznią mądrością
jak złote ziarna
pszenicy
Kiełkują czystą metaforą
tworząc autoportret
poety z gołębiem
na ramieniu
Ciekawe czy malarz
słonecznego dnia
umieści go na palcu?
Czy zdąży
zanim gołąb
umknie w przestworza?
Zanim wymieni się
łzami z deszczem?